

Renata Przymyk

Artystka niezwykle ceniona ze względu na nieprzeciętny talent muzyczny, niepowtarzalny głos i indywidualność artystyczną. Większość jej płyt uzyskała status złowych. Z wykształcenia jest bohemistką. Urodziła się w Bielsku-Białej, studiowała w Katowicach. Na scenie oficjalnie od 1989 r., kiedy to zdobyła Grand Prix Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Pierwszą swoją płytę wydała w 1990 r., wraz z zespołem Ya Hozna. W 1991 r. rozpoczęła solową karierę, wydając kolejne 9 płyt. Ostatnia z nich - „Odjazd” - ukazała się 13 listopada 2009 r. Lubi Virginie Woolfm Marqueza i Yourcenar, ale też Bjork i Richarda Galliano. Fascynatka teatru, kompozytorka, czasem aktorka. Marzy o podróży dookoła świata.

tekst: Renata Przymyk foto: Elżbieta Schonfeld



Uczta

Święta, spotkania z rodziną, co przyjeżdża czasem ten jeden raz w roku (bo na Boże Narodzenie mróz przytrzymuje ją na miejscu) i wszystkiego dużo! Dużo ludzi na niewielkiej domowej przestrzeni, dużo jedzenia, dużo rozmów i intensywność przygotowań, a potem świętowania (cokolwiek to znaczy). Tak nam się kojarzy Wielkanoc. No i jeszcze lanie wody! Dużo wszystkiego! Wszystkiego Najlepszego!

Wszystko w trosce o totalne zaspokojenie potrzeb świętujących. Jeszcze tylko kościół i można zaczynać. Wiele osób przeżywa to również duchowo i celebrytuje wielki akt ekspiacynny i szansę na odrodzenie, nowe życie dla człowieka i świata. Oby jak najwięcej! Ale zawsze towarzyszy nam ten sam problem - zachowanie odpowiednich proporcji, jak w przypowieści o biblijnych siostrach Marcie i Marii - równowagi między potrzebami ducha i ciała.

Życie może być jednym wielkim świętowaniem - jeśli tak postanowimy! (To nie moja teoria, ale podoba mi się!). Cieszyć się można z tak wielu rzeczy, tych małych i dużych. Wszystko jest kwestią odpowiedniego nastawienia. Za tak wiele rzeczy możemy być wdzięczni i świętować ich posiadanie. Możemy smakować życie intensywnie i radośnie aż do posądzenia o kretynizm albo przynależność do jakiejś sekty.

Jak się wiele lat temu przeprowadziłam na wieś, nie mogłam uwierzyć, że bezpośredni kontakt z naturą i jej przemianami może dostarczyć tylu wrażeń. Potem były, oczywiście, pierwsze grządki, kwiatki, własne owoce z drzewa, raj taki. Odjazd po prostu. Nie zaczęłam tylko wstawać o świcie (umiem powiedzieć „dość”). Ale jak mi pierwszy raz do ogrodu weszły sarny, to zdębiałam, przynajmniej. Teraz to normalka.

Wtedy czułam, jakbym zaczynała życie na nowo, jakbym straciła wszystkie zmysły, a potem je odzyskała i zaczęła się nimi cieszyć jak jakimś niezwykle cennym prezentem. Przydaje się do tego, rzecz jasna, wrodzona skłonność do egzaltacji, ale jakież to przyjemne. Kiedyś też, dawno temu, byłam przez mojego lekarza podejrzewana o cukrzycę i na dwa tygodnie nie wolno mi było zjeść nic słodzonego. Alarm okazał się fałszywy, ale odkrywana na nowo słodycz przysporzyła mi wiele przyjemności, a upodobania z nią związane zmieniły się zupełnie.

Instytucja postu znana jest od wieków i niezwykle potrzebna. Po to, żeby się oczyścić, dosłownie i w przenośni. Żeby odkrywać na nowo zdegenerowane dostatkami czy hedonistycznym podejściem smaki życia. Żeby móc naprawdę zachwycić się zapachem skóry, owoców, lasu czy smakiem prawdziwej herbaty czy potraw nie zgłuszonych kilogramem przypraw i polepszaczy, dobrze jest udać się na swoje czterdzieści dni na pustyni. Pobyć z sobą naprawdę, polubić siebie, swoje ciało i pozwolić sobie na zachwyty.

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że tak naprawdę wielu z nas po prostu siebie nie zna. Nie było na to nigdy czasu. Przeżyliśmy wiele lat w jakiejś społeczności, najpierw rodzinnej, potem szkoła, praca, partner i odpowiadaliśmy na potrzeby innych (co też bywa, oczywiście, przyjemne), a nasz własny gust i smak był częścią współsmakowania społecznego. To jest częstsze niż nam się wydaje. Warto pobyć trochę samemu (bez przechodzenia ze związku w związek ze strachu przed samotnością) i poznać się po prostu.

Strasznie ciężko uniknąć przy takich kwestiach tonu psychoanalizy czy choćby zwykłego wymądrzania się. Poczytałam coś tam, coś tam przeżyłam, pojechałam na oczyszczanie wątroby (oj, nie powiem Wam, kochani, co mi tam na niej leżało!) i dzielę się. Bo sama doszłam do tego dość późno. Ale nadrabiam z zapalem neofity!

Cudownie jest poznawać nowe smaki, rozróżniać składniki i rejony świata, w wąchiwać się i degustować każdy fragment tej uczy, jaką jest życie, dotykać i zanurzać się wszystkimi zmysłami w tym oceanie doznań! I świętować, że mamy tak wiele. I nie o ilości tu mówię, wiadomo. I nie dać się przy tym popędząć. I być po buddyjsku uważnym, bo wielkie rzeczy nie rzucają się w oczy swoimi gabarytami. Pamiętajmy o Prosiaczk!

Jest maj, pełnia wiosny, daj Boże, żeby też w sercu! I jeśli otrząsnęliśmy się już z przejedzenia świątecznego, rodzina znów da nam szansę, żeby za nią zatęsknić - idźmy na spacer do lasu! Póki jeszcze jest!

A w wolnej chwili polecam raczej „Uctę Babette” niż „Wielkie żarcie”. Może być też „Uczta” Platona, ale to już dla bardziej zaawansowanych.

Platoniczne podejście do jedzenia byłoby dla mnie zdecydowanie za trudne! Smacznego!

